

Cały naród z Erdoğanem

24 lipca 2016

Stan wyjątkowy w Turcji potrwa trzy miesiące, ogłosił Recep Tayyip Erdoğan. Z rozbrajającą szczerością dodał też explicite to, czego i tak wszyscy się domyślali: że będzie rządził za pomocą dekretów i że nie będzie respektował konwencji dotyczących praw człowieka. Do niedawna i tak było z tym marnie, ale przynajmniej istniały na papierze, stanowiąc jakiś punkt odniesienia. Teraz i on przepadnie.

Gdy tylko stało się jasne, że pucz w Turcji skończy się klęską – a w gruncie rzeczy było to oczywiste już po trzech godzinach od jego ogłoszenia, gdy stało się jasne, że buntuje się tylko mała część wojska – komentatorzy podzielili się na dwie grupy. Pierwsza była skłonna uwierzyć, że pucz zorganizował sam Recep Tayyip Erdoğan; w końcu, argumentowano, historia ostatnich kilku lat w Turcji obfituje w sytuacje dwuznaczne i „zamachy terrorystyczne” organizowane ponoć przez kompletnie niszowe grupy czy po prostu przez „nieznanych sprawców”. Podnoszono, że zamach był tak amatorski, że aż nierealny, tak samo jako niewiarygodnie wielkie były rozmiary korzyści odniesiony z tej amatorszczyzny przez Erdoğana – jeszcze w zeszłym tygodniu „tylko” prezydenta, teraz już zbawcę narodu i państwa. Druga grupa odpowiada, że sfingowanie zamachu w Turcji byłoby zarazem mało wykonalne i skrajnie ryzykowne zarazem: Recep Tayyip Erdoğan w ostatnich latach raczej upokarzał armię, niż nasycił ją całkowicie oddanymi sobie ludźmi, czy więc znalazłby wiarygodnych wykonawców tak ekstrawaganckiego zadania? I czy nie obawiałby się, że coś jednak pójdzie nie tak, że w reakcji na fałszywy nawet pucz obudzą się i kurdyjscy partyzanci, i komórki Państwa Islamskiego, i nawet niemrawa ostatnio opozycja? Przecież jeszcze w 2013 r., podczas protestów w parku Gezi, na ulice wychodziło nawet 8 mln krytyków rządu.

Dywagacje to może i pociągające, co bezowocne. Równie

bezwzględne, co przyjmowanie toku myślenia sugerowanego przez samego tureckiego prezydenta i zastanawianie się, czy za puczem stał pomagający Erdoğanowi w pierwszej fazie czystek w armii w latach 2011-2013 r. Fethullah Gulen. Na Bliskim Wschodzie nawet najbardziej absurdałne koncepcje znajdują swoich wyznawców. Zapewne wśród gorzej wykształconych wyborców Erdogana – a takich jest wielu – znajdą się tacy, którzy wierzą w powracającą stale w Turcji (jak w Polsce historia o układzie i resortowych dzieciach) wizję drugiego, głębokiego państwa, potężnej struktury potajemnie zmontowanej przez gulenistów: żołnierzy, sędziów, dziennikarzy, intelektualistów. Wizję tę zresztą Erdogan umiejętnie podsycił jeszcze przed zamachem stanu, sugerując od czasu do czasu, że liberalny filozof, głoszący potrzebę gruntownej modernizacji islamu, to w rzeczywistości ponury spiskowiec marzący o odebraniu mu władzy. Bliskowschodnie zamyślenie do teorii spiskowych zbiega się z prywatną fobią prezydenta Turcji, który islamu umiarkowanego, otwartego, gotowego do samokrytyki nie znosi jeszcze bardziej, niż jawnego i konsekwentnego sekularyzmu.

W całej sprawie najważniejsze jest co innego. To, że Erdoğan będzie konsolidował władzę przez prowokacje, brutalne czystki, ataki na ostatnie środowiska, które jeszcze zachowują jakiś poziom niezależności, już wiedzieliśmy. Afera Ergenekonu (cios w wojsko), manipulacje prawne i zastraszania (uderzenia w sądownictwo, adwokaturę i prasę), brutalny atak na Kurdów (de facto grzebiący proces pokojowy turecko-kurdyjski), forsowne przywracanie islamu do życia publicznego nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Ważne jest to, że prezydent ma na te wszystkie posunięcia niekwestionowane poparcie społeczne. Turcy, którzy nie mogli wiedzieć, jak silni są puczyści oraz jak dalej potoczy się sytuacja na jego wezwanie wylegli na ulice, byli gotowi go bronić. Przypomina się sytuacja z Wenezueli w 2002 r., gdy zamachu stanu dokonywało do spółki z potężną organizacją przedsiębiorców Fedecamaras, a obywatele ruszyli na pomoc aresztowanemu prezydentowi Hugo Chavezowi.

Dzięki temu poparciu Chavez odzyskał wolność i mógł kontynuować swój program reform społecznych. Erdogan, widząc tłumy zwolenników, którzy najpierw chcieli walczyć z puczystami, a już po zwycięstwie masowo manifestowali entuzjazm, wie, że może dalej mordować Kurdów, zamykać w więzieniach przeciwników politycznych i demontować demokratyczne instytucje. Turcy – w większości – nie zapłaczą nad żadną z tych strat.

Wyborcy Partii Sprawiedliwości i Rozwoju nie będą też zastanawiać się, dlaczego przewrót ściśle wojskowy – a jak się okazuje, popierany tylko przez niewielką grupę żołnierzy – spotyka się z konsekwencjami w postaci czystek ogarniających wszystkie opiniotwórcze środowiska. Na razie bilans represji to 60 tys. osób usuniętych ze stanowisk, zatrzymanych, postawionych w stan oskarżenia lub choćby wezwanych na przesłuchanie (z perspektywą aresztowania). W tym 7 tys. zawieszonych policjantów, 3 tys. aresztowanych oficerów i żołnierzy, z domniemanym wodzem zamachu gen. Akinem Ozturkiem i aresztowanym 22 lipca pułkownikiem Muammarem A. na czele, 300 wsadzonych do aresztu członków Gwardii Prezydenckiej, 48 zwolnionych członków Rady Stanu, dwóch sędziów Trybunału Konstytucyjnego i 140 pracowników Sądu Apelacyjnego. Akademicy mają zakaz wyjazdów z kraju, wszyscy dziekani na uczelniach musieli podać się do dymisji. A jest jeszcze „sprawiedliwość ludowa” – ilu żołnierzy zlinczował lub publicznie upokorzył tłum stronników prezydenta, nie wiadomo. Piętno zdrajcy nie znika wraz ze śmiercią – we wtorek tureccy imamowie ogłosili, że przegranym i zabitym zwolennikom puczu nie będzie przysługiwał nawet islamski pogrzeb. Powstanie dla nich specjalny cmentarz, goście którego mają przeklinać pochowanych.

Czegokolwiek by Erdoğan wyborcom by nie mówił, oni – przynajmniej na dzień dzisiejszy – zareagują entuzjazmem. Partia Sprawiedliwości i Rozwoju umiała konsolidować poparcie dla siebie z niesamowitą skutecznością. Przekonała Turków, że

to dzięki niej odzyskali godność i prawdziwy charakter narodowy, przestali być ślepyimi naśladowcami Zachodu, którym ten Zachód mimo wszystko nie ufa i nie przestaje stawiać warunków. Wykorzystując doskonale zorganizowany aparat propagandowy, przekonała ich dobrymi wskaźnikami wzrostu gospodarczego i efektownymi inwestycjami infrastrukturalnymi, perfekcyjnie rozegrała traumy lat 90. XX wieku. Ówczesnym niestabilnym rządóm i nieudolności polityków przeciwstawia Erdoğan, który przedstawiany jest jako główny rozgrywający nie tylko na Bliskim Wschodzie, ale i na skalę ponadregionalną. Skutecznie przekonuje, że od demokracji i respektowania praw mniejszości lepsza jest silna władza centralna: z takim przekazem AKP szła do przedterminowych wyborów w 2015 r. Wygrała, odzyskując samodzielną większość parlamentarną.

Z pełnym cynizmem rozgrywane są turecko-kurdyjskie resentymenty; po całych dekadach antykurdyjskiego przekazu ze stron kolejnych kolejnych tureckich rządów wojna z Kurdami na wschodzie kraju to dla przeciętnego obywatela niekurdyjskiego pochodzenia krok słuszny i niezbędny, zapewniający mu bezpieczeństwo. Równie cynicznie wykorzystywane są kolejne zamachy terrorystyczne przypisywane Państwu Islamskiemu. Po każdym rozlega się głos prezydenta, dający się sprowadzić do następującego przesłania: był w Turcji kolejny zamach? To znaczy, że władze nie miały dość możliwości, by mu zapobiec. Trzeba silniejszej władzy! Mało aktywna, w znacznej mierze już zastraszona dotychczasowymi represjami opozycja nie ma odwagi, by powiedzieć wprost, że sprawy mają się nieco inaczej. Nikt nie mówi, że awanturnictwo w polityce zagranicznej, w tym wspieranie najbardziej odrażających organizacji terrorystycznych w Syrii do spółki z postępującą islamizacją życia publicznego w kraju to woda na młyn fundamentalizmu na całym świecie, także w Turcji. Jedyną osobą, która pośrednio przyznała, że jest to polityka błędna, okazał się sam Erdoğan, wspominając kilka dni przed puczem o możliwej rewizji działań Turcji na Bliskim Wschodzie, w tym wykreślenia przynajmniej

niektórych „syryjskich opozycjonistów” z listy płac. W sprawie Kurdów jest jeszcze gorzej. Jakąkolwiek formę autonomii odrzuca i popiera ideę „walki z kurdyjskim terroryzmem” nie tylko Erdoğan. Jako jedyna o prawa Kurdów upomina się centrolewicowa Ludowa Partia Demokratyczna, ciesząca się w całym kraju poparciem rzędu 10 proc. – przede wszystkim w Kurdystanie właśnie. Pytanie, czy po zamachu stanu prezydent w ogóle pozwoli jej jeszcze podzielać.

Analitycy, spierając się o charakter tureckiego puczu, mają jeszcze jedną kość niezgody: to, czy pogrzebanie resztek demokracji i masowe czystki będą miały jakieś konsekwencje dla stosunków Turcji z Zachodem. Niestety ta kwestia wydaje się prostsza do rozstrzygnięcia. W Brukseli i Waszyngtonie doskonale wiadomo, kim jest Erdogan i jakimi metodami się posługuje. A jednak Europa podpisała z Turcją porozumienie w sprawie uchodźców, ciesząc się, że Ankara wybawia Stary Kontynent z kłopotów; zignorowano krytykę ze strony ONZ i obrońców praw człowieka, zignorowano głosy o wyzysku i złym traktowaniu uchodźców nad Bosforem, nazywając Turcję „bezpiecznym państwem”, co Erdogana musiało rozbawić. USA również Turcję popierały, ba, to rząd w Ankarze ośmielał się łajać Waszyngton za udzielanie pomocy Kurdom walczącym w Iraku i Syrii; w końcu z punktu widzenia Baracka Obamy i jego doradców liczyli się nie mordowani Kurdowie i aresztowani dziennikarze, tylko wkład Turcji w finansowanie właściwych podmiotów w konflikcie syryjskim. Dlaczego coś w tej sprawie miałoby się zmienić?

Autorstwo: Agatha Rosenberg

Źródło: Strajk.eu